

Grochowalski Paweł

Umowa

Zbliżała się trzecia nad ranem. Zmęczony dziesiątą godziną budowania imperium odchyliłem głowę na oparcie krzesła. Zamknąłem oczy. "Czas iść spać" - pomyślałem leniwie. W tym momencie, jakby na potwierdzenie tych myśli, ziewnąłem szeroko i długo.

- No dobra. Koniec na dziś. Jutro dokopię Aztekom - powiedziałem do siebie. Jednak zanim komputer wykonał polecenie zakończenia gry, ponownie położyłem głowę na oparciu krzesła. Przymknąłem oczy, a w zasadzie to powieki same mi opadły. Ziewnąłem raz jeszcze. I poczułem, że zaraz odleczę. "Jeszcze tylko wyłączyć komputer. Jeszcze tylko wyłączyć komputer..." powtarzałem w myślach jak w modlitwie. Już miałem wcisnąć alt+F4, gdy resztki zmęczonego umysłu dostrzegły pewną zmianę na tapecie. Pamiętałem, że miałem jakiś cholerny wodospad. A teraz widniała na ekranie jakaś paskudna gęba, niczym z "Diablo 2".

- Co za cholerne pudło! Znowu sam zmienił tapetę! - powiedziałem wkurzony na psujący się ciągle komputer. - Pieprzony wirus 98 - zdążyłem jeszcze dodać, gdy nagle tapeta ożyła. Diabelska twarz na ekranie zaczęła rosnać mi w oczach. Miałem wrażenie, jakby ktoś po drugiej stronie wchodził po schodach, coraz wyżej. Był już na wyciągnięcie ręki. Z monitora wyskoczyła wielka, czarna łapa. Złapała mnie za głowę i pociągnęła.

- Nieee! Nieee! - krzyczałem, ile sił w płucach. - To niemożliwe! - przeszło mi z trudem przez gardło, kiedy głowa była już po drugiej stronie monitora, a nogi jeszcze w pokoju. W odpowiedzi usłyszałem tylko diabelski rechot. Po chwili poczułem, jak puszcza moją czuprynę. Byłem przerażony i jednocześnie wściekły na niego, gdyż wyrwał mi prawie połowę włosów z tych, które mi jeszcze zostały. Ból był tak mocny, że myślałem tylko o tym, aby mu porządnie wygarnąć, ale zanim otworzyłem usta, usłyszałem głębokie, jakby ktoś krzyknął ze studni:

- Idziemy!

Wzięłem głęboki oddech, żeby zaprotestować, ale on nie czekał, aż powietrze zdąży poruszyć moje struny głosowe, tylko złapał mnie za rękę i pociągnął tak mocno, że czułem jak moje oczy zapadają się w głąb czaszki i zatrzymują dopiero gdzieś na potylicy. Nie wiem jakim cudem, ale właśnie w tym momencie ujrzałem oddalające się z prędkością światła schody, kończące się przejściem podobnym do lustra oraz fragment mojego pokoju o przekątnej 14 cali. Do tej pory wściekłość i zdumienie tłumiły inne uczucia. Dopiero widok niknącego w szaleńczym tempie pokoju ponownie rozbudził przerażenie, które w ekspresowym tempie przeszło w to najbardziej pierwotne uczucie - strach. Nie zdążyłem wykonać nawet jednego ruchu, gdy nagle wszystko się zatrzymało. Byłem na zniszczonym przystanku autobusowym z napisem: "Dla wysiadających". Rozejrzałem się. Oprócz zniszczonej nitki szosy mknącej aż po horyzont i cholernego przystanku, wokół mnie nie było nic. Dokładnie nic, bo trudno nazwać czymś wysuszone łąki, ciągnące się jak okiem sięgnąć oraz plantacje błota, odchodzącego płatami od ciała ziemi - ślad po dawno zapomnianych stawach. Przystanek, zabudowany z trzech stron przyspawanymi byle jak kawałkami blachy falistej, rzucał długi cień. Zbliżał się wieczór. Wszystko, co mnie otaczało miało pomarańczową poświatę przechodzącą powoli w krwistoczerwoną. Słońce - jak przypuszczałem - musiało być dokładnie za przystankiem i nisko nad horyzontem. Prażyło niesamowicie. Było chyba ze czterdzieści stopni w cieniu, jak nie więcej. Nie wyobrażałem sobie wtedy, co

innego mogłoby tak grzać, jeżeli nie słońce i to pewnie gdzieś w tropiku.

"Gdzie ja, do cholery, jestem? Dlaczego tu tak pusto? A może coś kryje się za przystankiem?" - pomyślałem i nie zastanawiając się długo, wyszedłem poza cień rzucany przez ostatni chyba zabytek surrealizmu. Nagle wszystko się zmieniło. Wokół mnie wrzały wulkany, lawa płynęła leniwie kilka centymetrów od czubków butów. Po mojej lewej stronie gotowały się jeziora siarki, a po prawej w wielkich kotłach smażyli się jacyś nieszczęśnicy. Wszędzie było pełno dymu, tworzącego lokalne skupiska smogu przy co większych paleniskach. Miałem wrażenie, jakbym trafił na jakieś ważne posiedzenie związku palaczy piecowych. Jednak syk lawy połykającej kolejne fragmenty podłoża, na którym stałem, bulgot siarki, jęki i krzyki, prawdopodobnie torturowanych ludzi, sprowadziły moją wyobraźnię na ziemię. Zanim ochłonąłem z pierwszego wrażenia, pojawił się przede mną diabeł, klasyczny aż do bólu. Wysoki. Czerwono-czarny. Z wielkimi kozłimi rogami na łbie. Z kozłimi nogami. Z wielkim ogonem, którym machał na prawo i lewo jak pies. Tak do pasa to był nawet ludzki. W miarę przystojny. Miał hiszpańską bródkę. Wściekle czerwone oczy z żółtymi białkami i wyszczerzone stalowo-szare zęby. Przebiegł mnie dreszcz. To był pełny garnitur zębów przypominających bardziej piłę tarczową niż uzębienie.

- O Boże! Jestem w piekle! - powiedziałem głośno.

- Który boże, małą czy dużą literą? - spytał usłużnie diabeł.

- Jak to który? - spytałem oburzony. - Ten najważniejszy! No ten z brodą...

- Takich to mamy z piętnastu.

- Noo... - przeciągało się, a ja myślałem intensywnie. Im więcej myślałem, tym mniej przychodziło mi do głowy. I wtedy bezmyślnie albo wręcz genialnie (kwestia gustu) wypaliłem: - Ten dużą literą!

Diabeł skrzywił się niemilosiernie.

- Nigdy nie mów o tym dużą! - ryknął. Następnie łaskawie zaczął, aż przestanie dzwonić mi w uszach.

- Możesz mówić "o bogowie"! Brzmi dużo lepiej - dodał spokojnym tonem. - A najlepiej to mów "do diabła!". Będzie to mile widziane, jako oznaka poparcia dla wyparcia, tfu, co ja też mówię, to znaczy eee... chciałem powiedzieć, dla naszej pracy. Oczywiście, że mam na myśli poparcie dla naszej pracy! - oparł łapę na moim ramieniu jak stary kumpel i patrząc mi w oczy kontynuował. - Nie zdajesz sobie jak bardzo ważne jest takie poparcie. Bez takiego poparcia nasza praca straciłaby sens. A przecież nie chcesz tego, prawda? No powiedz, że nie! No..

- No nie!

- Ha! I tu cię mam obłudniku jeden! - klepnął się w uda, jakby udało mu się zrobić komuś dobry kawał. Niestety, tym kimś byłem ja. I zupełnie nie wiedziałem, o co mu chodzi i czym mi to grozi. A diabeł jakby nie zdawał sobie sprawy z mojego zmieszania i niepewności, co do najbliższej przyszłości, skakał sobie w najlepsze, klepał się po udach i śmiał jak mały traktor na wolnym biegu. Stałem tak i patrzyłem na niego. Im dłużej patrzyłem, tym bardziej podnosiła głowę nadzieja, że to jednak sen, głupi sen, jakiś koszmar, może pół-koszmar albo coś jeszcze innego. Zachowanie diabła było tak dziwne, tak niesamowite, tak bardzo odbiegające od wszystkiego, co do tej pory kiedykolwiek słyszałem o diablach, że to musiał być tylko sen. Zaczynałem już w to wierzyć, ale na wszelki wypadek uszczypnąłem się w rękę. Zabolało! To nie był sen! Strach już dawno się wyczerpał, a teraz jeszcze skończyła mi się nadzieja. Byłem w piekle! "I co teraz?" - myślałem bardzo intensywnie, lecz poza to pytanie nie udało mi się odbiec daleko. Tym bardziej, że ten diabeł nie był w sumie taki straszny,

jak to nieraz zdarzyło mi się słyszeć. Miał czarne poczucie humoru, ale to zrozumiałe. Jakby nie patrzeć, był to diabeł. Prawdopodobnie.

- Uch! Już dawno się tak nie uśmieiałem. Jak was, ludzi, łatwo przestraszyć?

- To nie jest zabawne! W środku nocy wciągasz mnie przez monitor, ciągniesz gdzieś - nie wiadomo gdzie, zadajesz głupie pytania i jeszcze się ze mnie nabijasz! - poniosły mnie nerwy. Jego śmiech, a zwłaszcza to, że się mną bawił, wyprowadziło mnie z równowagi. A kiedy się wciekam, brnę na oślep, nie patrząc na konsekwencję. - Chciałbym wiedzieć, gdzie jestem! Znać reguły gry, w której się znalazłem! A poza tym, o ile wiem, macie zdaje się umowę z niebem, że żywych do piekła nie bierzecie, czyż nie? A ja zdecydowanie czuję się żywy! - ostatnie dwa zdania miały przekonać bardziej mnie niż jego.

- O, to tylko ci się tak wydaje! Zresztą, nawet jeżeli, to zaraz to naprawimy! - wyciągnął nie wiadomo skąd ogromną kosę i machnął nią w powietrzu nad moją głową. Po plecach przemaszerował mi oddział mrówek, jak zwykle niezawodny w takich sytuacjach. Oczywiście nie obeszło się bez zimnego potu. Tradycyjnie też nogi ugięły się pode mną i byłbym upadł, gdyby nie krzesło, które pojawiło się znikąd.

- No tak! Byłbym zapomniiał, że jesteś gościem, a nie kolejnym klientem - powiedział gospodarz uśmiechając się, oczywiście, od ucha do ucha. Prawdę powiedziawszy, to miałem już dosyć śmiejącego się szatana rodem z najbardziej surrealistycznej bajki.

- Pozwolisz, że oprowadzę cię po moim przybytku, moich włościach, mojej fabryce, czy jak to jeszcze nie nazwiesz. Oczywiście jako dobry, brz chciałem powiedzieć zły przewodnik pójde przodem.

I nie czekając na moją zgodę, ruszył. Nie pozostawało mi nic innego, jak pójść za nim, zwłaszcza, że czułem na sobie spojrzenie trzech par oczu piekielnego kundelka. Oczywiście nie uprzedził mnie o takim drobiazgu, że mojego bezpieczeństwa będzie pilnował Cerber - piesek większy od słonia, a na dodatek z trzema głowami. Klasyka po prostu! Lecz nie wiem czemu, miałem niejasne wrażenie, że ta klasyka pilnuje, abym za bardzo nie zbaczał z trasy i, co ważniejsze, nie próbował uciekać.

- Proszę szanownej wycieczki. Proszę nie kręcić się, nie schodzić ze szlaku. Grozi poparzeniem. A i co złośliwsze duszyczki do kotła mogą wciągnąć. Historia naszego zakładu zaczęła się wkrótce po stworzeniu człowieka. Naszym pierwszym klientem był Kain. Tak, tak... Długo by opowiadać, co było dalej, ale to zajęłoby nam zbyt wiele cennego czasu, a mamy jeszcze tyle do odwiedzenia. Oto podchodzimy do kotłów z okresu PRL-u.

Niespodziewanie diabeł zaczął podskakiwać i nucić głośno, strasznie przy tym fałszując: - Na prawo gar, na lewo gar, a dołem lawa płynie...

Piosenka była idealnie dostosowana do otoczenia. Istotnie, jak okiem sięgnąć na prawo i na lewo od ścieżki, którą podążałem, ciągnęły się kotły zawieszane na wielkich żelaznych łańcuchach ginących gdzieś wysoko w ciemnościach nad moją głową. Dla odmiany, obszar pod kotłami był rzęsiście oświetlony płynną lawą. Do łańcuchów były przyczepione tabliczki. Ponieważ kręciły się, nie mogłem przeczytać, co było na nich napisane.

Mój przewodnik nagle odwrócił się, spojrział na mnie, zobaczył moją skrzywioną minę i powiedział:

- Wybacz! Miał być kocioł, ale nijak nie pasował do rymu.

Jego czoło zachmurzyło się, ale za chwilę uśmiechnął się dentystycznie, zakręcił na kopytkach, wywinął młynka ogonem, po czym złapał ogon w łapy jak mikrofon i

udawał, że śpiewa. Nie jestem krytykiem muzycznym, ale w tym momencie przypominał mi Elvisa na koncercie. A może był to któryś z polskich wykonawców końca lat sześćdziesiątych?

- Fajne piosenki pisali tam u was, w komunie - przerwał nagle występ - nie ma co. W czasie największego ruchu z duszyczkami w latach pięćdziesiątych puszczaliśmy je sobie i praca od razu szła raźniej. A i duszyczki wtedy jakoś bardziej zgrzytały zębami. Oczywiście ma się rozumieć metafizycznymi, he-he-he. A może nie? To teraz takie mało istotne. Niemniej, muzyka robiła wrażenie. Tak, tak! Muszę przyznać, że pochodzisz z utalentowanego muzycznie narodu. No, te pieśni z okresu wojny, zwłaszcza o rąbankach, palce lizać - powiedział i faktycznie polizał swoje palce.

Przez moment miałem wrażenie, że zamiast palców widzę kielbasę krakowską, toruńską albo podwawelską.

- Proszę nie zatrzymywać się przy kotłach i nie drażnić prominentów z byłej epoki. Dzisiejsza wycieczka jest wyjątkowa. Na dłużej zatrzymamy się tylko w jednym, specjalnie przygotowanym na tę okazję pomieszczeniu. Pełne zwiedzanie piekła po wykupieniu wieczystych biletów. Proszę nie robić tłoku i przesuwać się do kolejnej sali.

Tempo wycieczki było isticie piekielne. Nie dość, że zaczęliśmy zwiedzanie piekła od Sekcji Polskiej, Okres PRL-u - zdaję się, że taką zauważyłem wywieszkę u wejścia do sali kominkowej, tzn. kotłowej czy może raczej kociołkowej, to prawie biegliśmy obok tych wszystkich piekielnych atrakcji i niestety nie mogłem przyjrzeć się dokładniej, komu z prominentów udało się załapać na ogniste wczasy. Zresztą u nas wszystko było na opak. Nawet pierwszy sekretarz mniejszej czy większej instancji prywatnie był wierzący. I wcale bym się nie zdziwił, jakby niektórych, tych bardziej znanych, tu brakowało.

- A teraz, szanowna wycieczko, przechodzimy do następnej sali, tzw. krytycznej, he he he.

Nie bardzo rozumiałem, z czego diabeł tak się śmieje, ale wkrótce się to wyjaśniło. Sala była ogromna. Poza ścieżką pośrodku wszystko pokryte było na wpół zastygłą lawą, jeszcze parującą. Zaraz przy wejściu nadziany na rożen nad wielkim ogniskiem smażył się jakiś człowiek. Poczulem zapach palącego się ludzkiego ciała i zrobiło mi się niedobrze. Na szczęście zdążyłem opanować torsje.

- Kto się tam smaży na ogniu?

- A ten! To kiepski krytyk! Bardzo kiepski krytyk. Smaży się w ogniu swojej krytyki. He he he... Czyż to nie pomysłowe?

Nie bardzo się z nim mogłem zgodzić. Tym bardziej, że wiele razy także mnie zdarzało się krytykować czy to uznanych autorów czy też debiutantów. Czulem, że zasycha mi w gardle. "Czyżbym miał dołączyć do tych nieszczęśników?" - myślałem na pograniczu paniki. Następnym "obiektem do zwiedzania" był mężczyzna przybity do krzyża. Z tym, że krzyż, cały z metalu, był wbity krótszym końcem w zastygłą, ale wciąż gorącą lawę. Mężczyzna, nie dość że przeżywał straszne męki, wisząc głową w dół - jego twarz była już sina od napływającej krwi, to jeszcze był przypalany rozgrzanym prawie do czerwoności krzyżem. Przełknąłem z bólem ślinę i zapytałem się:

- A ten co zrobił?

- Ach ten! To krytyk katolicki. Wszystko oceniał z katolickiego punktu widzenia i to, co w jakikolwiek sposób nie zgadzało się z wartościami chrześcijańskimi, krytykował straszliwie.

- Ale to chyba jeszcze nie powód, żeby tu wylądować?

- Ale cała zabawa polegała na tym, że robił to wszystko na pokaz. Prywatnie miał gdzieś wartości chrześcijańskie i wszystkich tych, którzy prosili o ocenę swojej twórczości. Nawet molestował seksualnie jedną początkującą pisarkę - piętnastolatkę. Nigdy już nic nie napisała. Że nie wspomnę o miłym siedemnastoletnim chłopcu, którego zgwałcił. Obiecał mu wydać tomik wierszy. Zapomniałem dodać, że miał własne wydawnictwo.

- No tak! Pewnie miał jeszcze więcej grzeszków na sumieniu.

- Nawet sobie nie wyobrażasz ile! Długo by mówić... - miałem wrażenie, że zacznę opowiadać, ale ku mojej niewymownej uldze zmienił zdanie. - Zapraszam do następnego obiektu.

Przeszliśmy obok. Na betonowym fundamencie stała zwykła betoniarka, taka jaką można zobaczyć na prawie każdej budowie. Jednak zamiast przerabiać piasek, wapno i wodę w beton, przerabiała na miazgę człowieka. Jak został wciśnięty do betoniarki, to jeden diabeł chyba wie.

- A ten nie dość, że był kiepski, choć bardzo znany, a raczej głośny, to spowodował przynajmniej jedno samobójstwo, kilka głębokich depresji, alergię na tworzenie i pewnie coś jeszcze. Jedna z młodych, dobrze zapowiadających się pisarek, po tym jak dostała od niego bardzo niepochlebną odpowiedź, rzuciła się z mostu. A nawet nie czytał jej opowiadań. Nie chciało mu się.

Byliśmy dopiero przy trzecim delikwencie, a sala ciągnęła się daleko. Wszędzie, jak okiem sięgnąć przymocowani do różnych urządzeń, najczęściej metalowych, byli jacyś ludzie, głównie mężczyźni. Zewsząd dochodziły jęki, krzyki, prośby o litość. To było nie do wytrzymania. Zastanawiałem się jak długo mam jeszcze zwiedzać tę salę tortur. Rozumiałem już, dlaczego sala nazywała się krytyczna. Dość osobliwe poczucie humoru. Jeszcze jedna rzecz nie dawał mi spokoju. Spojrzałem na przewodnika, który z miną dobrego gospodarza rozglądał się po swoich zbiorach i spytałem się:

- Myślałem, że kwestią sprawiedliwości zajmuje się niebo.

- O, to wszystko, to kwestia umowy. Mamy taką z górą. Oni, jak wiesz... Wzruszyłem ramionami.

- A nie wiesz! To nie szkodzi! W każdym razie oni na górze budują idealne społeczeństwo. Taką sobie he he... utopię. A dokładnie, to zaczęli budowę ósmego nieba. Z tego, co wiem w planach mają dziewiąte i dziesiąte. Takie zabezpieczenie na wszelki wypadek. Po prostu kłania się doświadczenie. Kiedyś chcieli poprzestać na jednym, ale okazało się, że ludziom ciężko rozstać się ze swoim byłym życiem. Każdy próbował przemycić coś, co kiedyś bardzo kochał za życia. Dla tych najbardziej zarażonych cielesnością zrobili pierwsze niebo. Reszta została przeniesiona na wyższy poziom duchowości. Ale po jakimś czasie i to okazało się niewystarczające. Wobec czego wybudowali trzecie niebo. A potem kolejne. I tak do dziś. A teraz są, jak to wspominałem, na etapie ósmego nieba. Nie wierzyłem mu.

- Czytałeś Herberta? - spytał ni stąd ni zowąd i nie czekając na odpowiedź dodał

- Genialny poeta! Napisał "Sprawozdanie z rajów". Jak wrócisz, to sobie przeczytasz. U góry jest dokładnie tak jak w "sprawozdaniu". Znajdziesz tam pełen opis.

Oczywiście, że czytałem Herberta. I "Sprawozdanie z rajów" i "U wrót doliny" i jeszcze kilka innych wierszy. Było to dawno temu, ale mniej więcej pamiętałem, co w nich było. Czułem, że robi ze mnie idiotę. Zgodzi! Herbert był genialnym poetą, ale jakim cudem mógł widzieć prawdziwe niebo, ba opisać je jeszcze?

Pamiętałem z lekcji...

- Rokita - krzyknął gdzieś w przestrzeń za sobą - wyłącz hologram!

Wszystko znikło, jak ręką odjął. Nie było już roznów, kotłów, lawy i siarki.

Byliśmy w normalnym gabinecie, tak na oko z pierwszej połowy XX wieku, chyba lata dwudzieste albo trzydzieste.

- Witam w moim gabinecie. Pozwól, że się przedstawię. Rezydent Piekła na Polskę Boruta Łęczycki - powiedział i wyciągnął w moim kierunku prawą dłoń.

Byłem zupełnie zaskoczony tak zmianą otoczenia, jak i wyglądu rozmówcy. Prawdę powiedziawszy to już przyzwyczailem się do obecności diabła w klasycznej formie.

Tymczasem przede mną za mahoniowym biurkiem w wielkim ciemnozielonym fotelu siedział postawny mężczyzna w garniturze o fasonie z tego samego mniej więcej

okresu, co gabinet. W dłoni trzymał cygaro. Na stole stała mała lampka z

ciemnozielonym kloszem, przybornik na ołówki, stara niemiecka maszyna do pisania i jeszcze kilka drobiazgów. Ciężkie atlasowe zasłony w ciemnozielonym kolorze

dokładnie zasłaniały okna, tak że nic nie można było dostrzec. O ile były tam

okna. Ściany pokrywała wiśniowo-czarna boazeria. Zaczynałem wątpić już we

wszystko, co widzę. Ufałem jeszcze jedynie swojemu rozsądkowi. Chociaż przyznam,

że był wystawiany na ciężką próbę po tym, jak mój materialistyczny pogląd na

świat uległ załamaniu. Na szczęście człowiek jest elastyczny, no w każdym razie

ja jestem elastyczny... Mimo dwudziestowiecznego ubrania, gospodarz miał w sobie

coś ze szlachcica. Postawa, spojrzenie i wąsy były zdecydowanie starsze niż

gabinet, w którym siedzieliśmy.

Po chwili niezdecydowania, w czasie której Boruta ciągle uśmiechał się idealnie

białym jak z reklam uśmiechem, podałem mu swoją rękę, którą mocno uściśnął.

- Bardzo mi miło! Ja jestem... - chciałem przedstawić się, ale bardzo szybko mi przerwał.

- O, to niepotrzebne! Doskonale wiem, kim jesteś...

- Czy my się znamy? - było to głupie pytanie, ale jedyne, które w tej chwili cisnęło mi się na usta i to tak intensywnie, że nie szło go zatrzymać w więzieniu zębów.

- O, zapewniam cię, że tak! Nie raz prowadziliśmy wspólne interesy...! -

odpowiedział, uśmiechając się promieniście, jak doskonały biznesmen.

- Nie przypominam sobie... - powiedziałem niepewnie, jednocześnie próbując intensywnie przypomnieć sobie jakiegokolwiek okoliczności naszego ewentualnego wcześniejszego spotkania.

- Bo z wami ludźmi to tak zawsze! - już nie uśmiechał się tak promieniście. W zasadzie w tym momencie był to uśmiech zachmurzonego nieba, co nie wróżyło

dobrze na przyszłość. - Najpierw się człowiek, pardon, diabeł naharuje, napoci,

żeby takiego delikwenta zainteresować ofertą piekła - kontynuował mocno

gestykulując rękoma. - A ile to trzeba na reklamę wydać?

Wzruszyłem ramionami.

- No pewnie, że nie wiesz, bo skąd masz wiedzieć! Ale to było pytanie

retoryczne. Nie przerywaj mi jak mówię! Na czym to stanąłem? A tak... I jak już uda się wszystko załatwić, to taki delikwent umiera i trzeba wszystko zaczynać od nowa - pokiwał smutno głową.

- Nie rozumiem...

- Nie rozumiem, nie rozumiem... - przedrzeźniał mnie. - A o reinkarnacji słyszałeś, co?

- Słyszałem! Co nieco... Ale co to ma...?

- Jak to co? Mnóstwo! Ludzie się rodzą i umierają. Jak duszyczka była, tfu,

dobra, to prawie zaraz wraca na ziemię do nowego ciała. A jak była zła, to musi nieco odpokutować i też wcześniej czy później wraca na ziemię. Jak nie uda się sfinalizować umowy, zanim nasz klient spotka się z kościstą, to dupa.

- Dupa koścista?

- Euhh! Jeszcze długo będziesz musiał się uczyć! Koścista to śmierć. A dupa to null, zero, nie udane przedsięwzięcie. Trzeba zaczynać od nowa. I cała robota do... na nic. Rozumiesz?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zacząłem rozglądać się po pokoju. Moją uwagę zwrócił obraz wiszący na ścianie z mojej lewej strony. To były schody prowadzące do lustra. Z wrażenia aż wstałem. Spojrzałem na Borutę. Następnie na ścianę. Jeszcze raz na Borutę. Uśmiechał się tajemniczo. Podbiegłem do ściany. Nie myliłem się! W lustrze z obrazu zobaczyłem fragment mojego pokoju.

- Jak to możliwe? - powiedziałem głośno.

- Mogłem się domyśleć, że zauważysz. Masz rację. To jest przejście.

- To jak to jest? Przejście jest tylko w moim pokoju, tak? A jak przeniosę monitor, to je zamknę? Czy może to monitor jest przejściem?

- Nie! No co ty? Ha! Już widzę jak obracają się trybiki w twoim mózgu. Nie ma tak dobrze. To byłoby zbyt proste! To my otwieramy przejście tam, gdzie chcemy. Ono z tej strony jest zawsze otwarte. Potrzebna jest tylko brama z drugiej strony. Po tym jak nagromadzi się odpowiedni potencjał, może to być równie dobrze lustro jak i monitor. Taka Alicja czy Funky Koval przeszli na przykład przez lustro.

- Zaraz! Zaraz! Przecież to były postacie fikcyjne! Ktoś mnie tu robi w balona!

- O, zapewniam cię, że nie! Były jak najbardziej prawdziwe. Prawdę powiedziawszy, pisarze nie wymyślają niczego nowego. Oni mają tylko dar zagładania... Nie! Czekaj! Chyba lepszym określeniem byłoby zapuszczania sondy w przyszłość lub w przeszłość, niekiedy w światy równoległe. No w każdym razie jest to coś takiego w rodzaju duchowej wizji.

- OK. Mniej więcej rozumiem - starałem się przerwać te bezsensowne poszukiwania odpowiedniego słowa.

- No i dobrze! A my czasami pomagamy ten dar wzmocnić albo osłabić Najczęściej jednak piszą ze swojego życia, mieszając to, co nabazgrzą z życiorysami przyjaciół, znajomych bliższych lub dalszych, przypadkowo spotkanych osób, a czasami ze swoimi marzeniami.

- Po co mi to wszystko mówisz?

- Ponieważ jesteś pisarzem.

- Nie jestem! - krzyknąłem.

- Ale chcesz być?

- Jeżeli nawet, to co? - w momencie, kiedy zadawałem to pytanie, byłem spięty. Po głowie zaczęły krążyć mi myśli, które nie za bardzo mi się podobały.

- Nic, zupełnie nic - uśmiechnął się, jak kot na widok myszy. - Ale, jak się zapewne domyślasz, możemy utrudnić ci, ale to bardzo utrudnić, zdobycie popularności.

- To po to mnie tu ściągnąłeś? - podniosłem się energicznie z fotela i pochyliłem do przodu. - Po to, żeby powiedzieć mi, że nie będę pisarzem, tak? Że jak nie dogadam się z wami...? - wykrzyczałem te pytania opierając się o blat biurka. Moje oczy zwięzły się prawie w szparki. Patrząc na Borutę oddychałem szybko i płytko

- Między innymi...

- To po co cała ta gadka o przejściu? - mówiłem wciąż podniesionym głosem.

- Żeby zniechęcić cię do wszelkich prób oszukania nas.
- Dlaczego miałbym was oszukać? - powiedziałem ciszej, zupełnie zaskoczony i usiadłem z powrotem na fotelu.
- Bo taka jest natura człowieka! Słynny imię Twardowski...
- Nie chcesz powiedzieć, że to też prawdziwa postać?
- O, jak najbardziej! Ale mniejsza o nim. Wracając do przejścia - to proste. Nie możesz przed nami uciec. Nie możesz przed nami się ukryć. Nie wiesz przecież, które lustro i który monitor możemy wykorzystać jako przejście. Od biedy telewizor też się nada.
- Nie muszę być pisarzem! - zbuntowałem się.
- Nie! Pewnie, że nie. Problem w tym, że ty chcesz i to bardzo chcesz być pisarzem...

Wiedział! Widziałem, jak czeka na moją reakcję. Najgorsze było w tym wszystkim to, że miał rację! Zawsze chciałem być pisarzem. Było to moje najskrytsze marzenie. Wiedzieli o nim tylko najbliżsi - mama, przyjaciele. Okazuje się, że nie tylko oni. Moje wielkie marzenie i moja pięta Achillesa! Mimo wielu prób, nie udawało mi się napisać nic dobrego, na tyle dobrego, aby załapać się do jakiegoś literackiego pisma. Owszem, znajomym podobały się moje opowiadania, ale ilekroć wysyłałem któreś z nich do jakiegoś pisma, to zawsze znalazł się dumny krytyk, któremu się coś nie spodobało. Najłżejsze zarzuty były tego typu, że opowiadanie nie pasuje do profilu pisma. Od niedawna próbowałem na internecie. Znalazłem stronę poświęconą debiutantom. Od kilkunastu dni śledziłem wszystko, co się na niej działo. W końcu odważyłem się wysłać pierwsze opowiadanie. Czekałem tydzień, zanim się ukazało. Opinie internautów nie były ani dobre, ani złe. Ktoś poradził mi, abym zajął się krytyką, bo lepiej mi to wychodzi. Posłuchałem. I krytykowałem zawzięcie, jak leci, za formę, za styl, za interpunkcję, za ortografię, za skopany pomysł. Nie zostawiłem na nikim suchej nitki. W momencie, kiedy przypomniałem sobie o moich zjadliwych krytykach, przed oczyma pojawił mi się obraz sali zwanej krytyczną.

- A co z tymi krytykami? - spytałem się nagle.
- Boruta zdziwił się. Nie spodziewał się chyba takiego pytania.
- No, z tymi, co to byli torturowani?
- To znaczy? - odpowiedział mi pytaniem na pytanie.
- Dlaczego...? Dlaczego...? - nie mogłem wydobyć z siebie nic więcej, gdyż nagle zaschło mi w gardle. Złapałem szklanekę z jakimś płynem, która nie wiedzieć kiedy, pojawiła się na stole i wypilem duszkiem.
- Woda? - byłem zaskoczony.
- A myślałeś, że co?
- No, nie wiem... Cokolwiek innego, ale woda?
- Aha! Jak jestem diabłem, to już nie mogę pić wody, czy tak? Na szczęście nie jest święcona, he he he... - śmiał się w najlepsze, patrząc na moją zaskoczoną minę. Po chwili przestał i zadał mi pytanie:
- Co, dlaczego?
- Dlaczego pokazałeś mi tych wszystkich torturowanych krytyków? Czy to miała być jakaś przestroga?
- Przestroga? Nie! Zapewniam cię, że nie - kiedy to mówił, uśmiechał się, jakby usłyszał dobry żart. - Od przestroóg jest inny departament, ten nieco wyżej - i oczami wskazał do góry, co pewnie miało oznaczać niebo. - Ja tylko pokazuję ci twoją przyszłość - kontynuował spokojnie.
- Moją przyszłość? - zapytałem drżącym głosem.



- Tak! Twoją przyszłość - potwierdził spokojnie, bez uśmiechu.

- Nie wierzę ci! - wykrzyczałem. - Kłamiesz! To potrafisz robić najlepiej.  
Chcesz mnie zastraszyć!

- Tak! Masz rację! - przyznał zupełnie niespodziewanie dla mnie. - I co teraz?

- Nie dam się zastraszyć! Zmienię się! Będę lepszy!

- Ha, ha, ha! Ty? - śmiał się tak mocno, że aż łzy zaczęły płynąć mu po policzkach.

Skuliłem się w fotelu. Obiecywałem sobie w duchu, że pójde do kościoła, wypowiadam się. Będę od dziś lepszym człowiekiem Będę miły dla wszystkich, uczynny, dobry.

- Nie rozśmieszaj mnie! Ty miły dla innych, tfu, dobry!!! - Boruta podniósł się i patrzył na mnie z góry. - Rokita, wykres! - ryknął w przestrzeń za sobą.

Z sufitu spłynął ogromny ekran. Światło w biurze zostało przyciemnione. Na ekranie pojawiły się zupełnie nieczytelne dla mnie w pierwszej chwili wykresy.

- Spójrz tutaj - gospodarz biura wskazał na jeden ze słupków na wykresie.

Podążyłem wzrokiem za luminescencyjnym wskaźnikiem, który trzymał w dłoni.

- Wykres ten przedstawia relację twoich złych uczynków w stosunku do dobrych - kontynuował. - Jak wynika z tego wykresu w ostatnim czasie nastąpił jakościowy i ilościowy wzrost liczby złych uczynków w stosunku do dobrych. Tendencję tę obserwujemy od kilku lat. Bez wyraźnej interwencji piekielnych czynników pracujesz bardzo wydajnie, aby zostać jeszcze jednym z klientów piekła - odwrócił się do mnie i uśmiechnął.

Byłem przerażony.

- Przejdźmy do wykresu liczbowego. Rokita!

Obraz na ekranie zmienił się. Było na nim teraz mnóstwo liczb, które przemieszczały się we wszystkich możliwych kierunkach, nie dając się odczytać. W momencie, kiedy Boruta przytknął wskaźnik do ekranu, liczby uporządkowały się.

- Kolejny wykres. Sądzę, że nie wymaga specjalnego komentarza?

Odpowiedziała mu cisza.

- No dobrze! Pierwszy czarny słupek - grzechy ciężkie - 235 957. Jeszcze nie tak źle, jeżeli wziąć pod uwagę, że nie masz na koncie żadnego morderstwa. Ale trafiło się kilka kradzieży, co? W sumie ujdzie. Niektórzy grzeszą bardziej.

Drugi słupek - lekkie - 5 948 186. I z każdą chwilą rosną, co niezmiernie mnie cieszy. Biorąc pod uwagę, że przeżyłeś właśnie 10 000 dni, to niezły wynik. A tak swoją drogą, to moje gratulacje! Dziś jest twój dziesięcioletni dzień!

- Nie ma czego - odburknąłem.

- Jaki skromny! - wyraźnie nabijał się ze mnie, ale nie miałem ani siły, ani ochoty żeby mu przerwać.

- Tak! Sądzę, że białe słupki możemy pominąć. Rokita! Zabierz ekran.

- Czeka! - krzyknąłem. - Mam chyba prawo wiedzieć, jak stoję z drugiej strony!?

- poderwałem się z fotela.

Ekran zakołysał się. Najpierw podniósł się do góry, a za moment wrócił na swoje poprzednie miejsce. Widocznie Rokita nie wiedział, co robić. Boruta zaś był niezbyt zachwycony moją reakcją.

- Nasz klient, nasz pan! Jak to mówią w wytwornych sklepach - nadrabiał miną. - No dobrze. Skoro tak bardzo chcesz wiedzieć. Ten biały wykres to twoje dobre uczynki. Jak widzisz jest ich zaledwie 756 035. Niewiele w porównaniu ze złymi.

- Ale dobre uczynki i złe mogą się znosić, prawda? - miałem nadzieję, że odpowie twierdząco.

- Nie, nie mogą.

Nie wierzyłem mu. Jeżeli jednak mówił prawdę, to co go tak zaniepokoiło. Było coś, co mogło odwrócić moje "piekielne" przeznaczenie, tylko co? Zacząłem intensywnie wpatrywać się w ekran.

- Skończyłeś już? - Boruta był lekko zniecierpliwiony.

To jeszcze bardziej utwierdziło mnie, że coś przede mną ukrywa. - A co z tym szarym wykresem? - wskazałem palcem trudno do zobaczenia z miejsca, w którym siedziałem, wykres.

- A to? Eee, to nic ważnego - diabeł uśmiechnął się, jak sprzedawca, który chce odwrócić uwagę od wady towaru.

- Co to jest? - nalegałem.

- No dobra! Sam chciałeś... - zawiesił głos i czekał na moją reakcję.

- Słucham.

Widząc, że jednak nie uda mu się zmusić mnie do zrezygnowania z odpowiedzi, Boruta wziął głęboki oddech i powiedział:

- To są twoje grzechy zmasane przez spowiedź.

- Co? - serce podskoczyło mi z radości. "Czyżby była jednak jakaś nadzieja?" - pomyślałem.

- Dobrze słyszałeś. To jest liczba grzechów, które masz odpuszczone.

- Ile tego jest?

- 2 131 017.

- Tylko?

- Wystarczy.

- Czekaj! Co wystarczy? Na co wystarczy? Nie rozumiem.

- Wystarczy już tego tłumaczenia. I tak liczba złych uczynków skazuje cię na piekło.

- Moment! Nie tak szybko! - byłem podniecony.

Czułem, że nie jestem tak zupełnie stracony i jednocześnie, że coś jeszcze przede mną ukrywa. "Ale co? - myślałem intensywnie. - Kiedy były mi odpuszczone te grzechy? Pewnie jak chodziłem do kościoła i do spowiedzi. Ale to było kilka lat temu. Czy dałoby radę naprawić jeszcze to wszystko?"

- Ile mi zostało życia?

- No, jeszcze trochę... Może kilka lat.

- Kilka lat! - byłem zachwycony. To by znaczyło, że mam jeszcze trochę czasu. -

A liczba moich grzechów? Czy jest to liczba całkowita czy po odliczeniu odpuszczonych?

- Rokita - krzyknął Boruta - zabierz w końcu ten ekran.

Przez moment było ciemno. Nie widziałem nic i wtedy właśnie mi odpowiedział:

- Już po odliczeniu.

Nie widziałem jego twarzy, ale mu nie wierzyłem. Czułem, że kłamie. Miałem szansę. Nie muszę być pisarzem! Nie muszę być krytykiem! Mogę robić coś innego. Pomagać ludziom. Być lepszym. Nie muszę wrócić do piekła!

Ponownie zapaliło się światło. Boruta stał przy oknie. Spoglądał na mnie i uśmiechał się. Ten uśmiech był dziwny.

"Czyżby miał coś jeszcze w zanadrzu?" - pomyślałem.

- Jesteś inteligentny. Ale to dobrze. Na początku chciałem zaproponować ci umowę autorską.

- To znaczy?

- Chciałem zaproponować ci pigułkę z talentem w zamian za twoją duszę.

- Jakie to typowe! Miałem sprzedać swoją duszę! - zadrwiłem.

Kiwnął głową i ponownie uśmiechnął się.

- Co to jest ta pigułka z talentem?

- Nasi alchemicy wynaleźli pewien rodzaj pigulek, które po zażyciu powodują wzrost umiejętności pisarskich. I tylko od wrodzonych właściwości osoby, która zażywa pigułkę, zależy, jak te umiejętności się rozwiną. Ponieważ masz talent, w twoim wypadku, po zażyciu pigułki, można by mówić o nowym geniuszu literackim.

- O geniuszu literackim! - rozmarzyłem się. - I to tylko za duszę? - spytałem niedowierzająco.

- I co? Skusisz się? - znowu się uśmiechał.

- Eeee... - chwilę się wahałem. Jakby nie patrzeć, koło nosa przechodziła mi taka szansa. Ale wtedy przypomniałem sobie los krytyków. - Nie! - odpowiedziałem pewnie.

- Tak myślałem - diabeł wciąż się uśmiechał. - Ale mam dla ciebie jeszcze jedną propozycję.

- Cały zamieniam się w słuch - zażartowałem sobie.

Boruta zaczął przechadzać się tam i z powrotem. Widać było, że zastanawia się, jak zacząć. Nagle przystanął. Spojrzał na mnie. Podeszedł do swojego fotela. Oparł się o niego.

- Cóż - powiedział - sędzę, że najlepiej nie owijać w bawełnę. Otóż mamy deficyt diabłów.

- Co? - oczy mało co nie wyskoczyły mi ze zdziwienia.

- Tak, dobrze słyszałeś! Mamy deficyt diabłów. A to wszystko przez demografię. Diabły z natury nie są skore do rozmnażania. No, przynajmniej nie między sobą. Nieco inaczej ma się rzecz z ludźmi, a raczej ludzkimi kobietami. Połączenie kobiety i diabła nie zawsze daje odpowiedni wynik. Kilka nieudanych prób skończyło się przyjsciem na świat Panów lub inaczej mówiąc Satyrów. Przypuszczam, że kojarzysz z mitologii greckiej?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

- Z czasem nauczyliśmy się kontrolować rozwój płodu na tyle, aby urodził się zdrowy diabeł. W zasadzie to raczej półdiabeł. Prawdę powiedziawszy, ja też jestem półdiabełem. Moja matka była szlachcianką, a ojca nie znam - uśmiechnął się - ale to nie przeszkadzało mi zejść tak wysoko. Jako półdiabeł jestem bardziej odporny na działania góry i Kościoła. Z drugiej strony jest kilka minusów tej sytuacji. Ale o tym może później. Jeden z naszych najlepszych agentów w XX wieku, Meff Fawson...

- Meff? Agent dołu?

- O! Słyszę, że czytałeś Wolskiego.

- No pewnie! Świetna książka. Chciałbym pisać tak jak on! - dodałem z zazdrością.

- To nic trudnego! Wolski dostał od nas pigułkę.

- Wolski sprzedał duszę?

- Niezupełnie. Ceną za pigułkę miało być między innymi napisanie "Agent dołu".

- To są inne możliwości? - nastrój popsuł mi się natychmiast \.

- Tak! - spojrzał na moją kwaśną minę. - Ale Wolski był wyjątkowy. W zasadzie pigułka nie była mu potrzebna.

- I to ma mnie pocieszyć?

- Nie. Ale słuchaj dalej. Jak może pamiętasz, nasz najlepszy agent Meff Fawson został zneutralizowany.

- Pewnie, że był najlepszy, bo to Amerykanin, a nie Polak - gdzieś spod sufitu odezwał się Rokita.

- Ale Amerykanin polskiego pochodzenia!

- Z tym, że tak do końca, to nie jest pewne - nie ustępował głos spod sufitu.

- No i zobacz z kim ja pracuję? - stojący naprzeciw mnie diabeł puścił oko w moim kierunku i uśmiechnął się pod nosem.

- To powiedz uczciwie, że Meff przeszedł na drugą stronę. Jest teraz jednym z lepszych agentów nieba. A wszystko przez dupencję! A taki ładny koniec świata szykowali! Buuu!

- No i rozbeczał mi się. Za często wśród ludzi przebywa i zrobił się miękki.

- Chociaż z drugiej strony wolę tak jak jest! - odezwał się głos gdzieś nad moją głową.

- Będziesz ty już cicho! - Boruta zdenerwował się.

- Bez ludzi byłoby nudno... - Rokita nie dawał za wygraną.

Bawiłem się świetnie słuchając tej dyskusji. Ale w tym momencie Rokita został doprowadzony do porządku, a Boruta już bez przeszkód kontynuował swój wykład.

- Na czym to ja skończyłem? A tak! Meff był jednym z lepszych agentów. W zasadzie to był jedynym nowym agentem w ostatnim pięćdziesięcioleciu. W większości wypadków wyręczali nas zwykli ludzie. Czasami diabły z importu, z Niemiec lub z Rosji. Jakoś nie przepadam za nimi. Zdarzyło mi się kilka razy pomagać nawet naszym partyzantom.

- Dlaczego ci nie wierzę?

- Bo ty cyniczny człowiek jesteś! Wiesz? Tak się składa, że w piekle od dawna mamy daleko posuniętą decentralizację, podział na regiony, że tak powiem na euroregiony, he-he... Demografia uczyniła takie spustoszenia w diabelskich szeregach, że całą robotę na powierzchni powierzono półdiabłom. U nas z nowymi półdiabłami posucha. Nie to co w Niemczech. Tam do niedawna było ich zatrzęsienie. A u nas? Strach mówić! Owszem, było kilku. Ale to wszystko szlachta. Złota wolność im w głowach była. Na każdy mój pomysł z liberum veto wyskakiwali. Nawet przed Najniższym głowy nie chcieli skłonić, bo diabeł na zagrodzie równy wojewodzie - mówili. No i trzeba było ich zdegradować do zwykłych śmiertelników. A teraz sam tu jeden z Rokitą zarządzam - mówiąc to otarł łzę, która pojawiła mu się w kącie oka.

- Rozumiem, że chcesz zaproponować mi status półdiabła?

- Nie ma to, jak rozmawiać z inteligentnym człowiekiem! - znowu uśmiechał się pełnym zestawem uzębienia.

- Eeee... Tak. Tylko z czym to się wiąże?

- Lepiej się spytaj, co to daje?

- A co zabiera?

- Ty to chyba pesymistą jesteś? Lepiej posłuchaj tego: niewyczerpane konto w banku, do końca przeznaczonego limitu życia wieczna młodość i zdrowie, panienki na każde skinienie, siła i tężyzna fizyczna, odporność na ciosy. Ponadto darmowa pigułka z talentem, zero negatywnej krytyki oraz możliwość teleportacji w dowolne, wcześniej odwiedzone miejsce. Czyż to nie wspaniałe!

- Piękne! Ale jestem dzieckiem reklam i wiem, że im co bardziej jest reklamowane, tym większe świństwo. Co w zamian?

- Oczywiście wieczna służba dla dołu.

- A co z moją duszą?

- Jak to co? Zostaje u ciebie! Czy Meffowi ktoś zabrał duszę?

- Nie. Sama zaczęła stopniowo znikać, co też mi się nie za bardzo podoba.

- Ty to byś chciał mieć wszystko, co? A od kiedy ci tak na duszy zależy? Nie zauważyłem, żebyś ostatnimi czasy się nią przejmował? Poza tym Wolski nieco pozmieniał materiały, które mu dostarczyłem, tak aby bardziej wciągnąć

czytelnika. Z tą duszą to trochę przesadził. Ja do dzisiaj mam swoją duszę, a będzie już około pięćset lat, jak pracuję dla dołu.

Skrzywiłem się. Coś za bardzo naciskał. Jestem już taki nieufny i nic na to nie poradzę.

- No dobrze. Pomyśl o tym w ten sposób. Nie ma duszy. Tak? Więc nikt się nie będzie nad nią znęcał. Proste, prawda?

- Założmy...

- To podpisujemy?

- Nie chcem, ale muszem.

- To tak, czy nie?

- Rozważając wszystkie za i przeciw...

- Więc jak?

- No dobrze! Raz kozie śmierć.

- Rokita! Umowa!

Błysnęło tylko i na stole pojawił się kawałek pergaminu. Przeczytałem. Wszystkie warunki zgadzały się z tym, co przedstawiał wcześniej Boruta.

- Zgadza się? - zapytał z uśmiechem.

- W sumie tak - powiedziałem bez entuzjazmu.

Ciągle miałem wątpliwości. Korzyści były oczywiste. Ale nauczony doświadczeniem innych, wiedziałem że umowy z piekłem, często wychodzą bokiem.

- A teraz tylko podpis.

Sięgnąłem po wieczne pióro, które leżało na biurku. Próbowałem podpisać się pod cyrografem podrobionym podpisem mojego największego wroga.

- O nie! Żadnym atramentem! Musisz podpisać koniecznie własną krwią!

- Nie rozumiem! Dlaczego krwią? I do tego własną?

- Oj! Wydawałoby się inteligentny i wykształcony człowiek, a tymczasem taki zwykły chłop z waszego tak zwanego średniowiecza lepiej to rozumiał - Boruta drwił ze mnie. - Po pierwsze tradycja. Piekło, wbrew różnym zapewne zasłyszczanym przez ciebie pogłoskom, jest bardzo konserwatywne. Podobnie jak góra. Dlaczego krew? Otóż krew daje najlepsze poręczenie na autentyczność podpisu. Nie ważne czy podpiszesz się krzyżykiem czy czymś innym. Podpis krwią jest jedyny w swoim rodzaju, tak jak jedyna w swoim rodzaju jest krew - uśmiechnął się pełnym garniturem siekaczy.

- Nie wątpię!

- To już powinieneś domyślać się, że krew zawiera wszystkie informacje o podpisującym dokument. Widziałeś tyle filmów SF, przeczytałeś tyle książek, jesteś w miarę bieżąco z odkryciami naukowymi. Nic ci nie przychodzi do głowy?

- Chyba nie chcesz powiedzieć...? Nie... To niemożliwe... - zawahałem się

- Jesteś już blisko. Jeszcze mały wysiłek i...

- Nie chodzi ci chyba o DNA?

- Brawo! Jednak się nie myliłem, co do ciebie!

- Ale po co wam w piekle materiał genetyczny? Co, macie ukryte jakieś laboratorium? Mutantów tu sobie robicie? - zakpiłem.

- Zdziwiłbyś się, jak blisko jesteś prawdy - powiedział to tak poważnie, że aż ciarki przeszły mi po krzyżu. - A dokładniej, to krew służy nam do skopiowania osobnika. Jak wy to ładnie nazywacie - sklonowania.

Coś mi tu nie grało. Jak to? Piekło i klonowanie? Czuję, że ktoś tu oszukuje. Albo to nie było piekło albo... co? Myślałem intensywnie. Bruzdy przeorały mi czoło.

- No przecież ludzie nie żyją wiecznie! Prawda? - Nie czekając na odpowiedź oraz

nie przejmując się moją nadliczbową pracą umysłową, diabeł kontynuował wykład. - Kiedy klient umiera, jego ciało zostaje na Ziemi, a tylko dusza wypuszczana jest na wolność. Dla zachowania pozorów trzeba odprawić normalny pogrzeb w tradycyjny czy mniej tradycyjny sposób. Rozumiesz? - kiwnąłem głową twierdząco. - I zanim duszyczka poczuje się zbyt niezależna robimy sobie klona. A dokładnie to wyciągamy go z lodówki. Na zrobienie nowego nie ma czasu. Następnie ściągamy duszę do nowego ciała i mamy już gotowego do dalszej obróbki osobnika. Może to być obróbka termiczna, mechaniczna albo psychokinetyczna czyli potocznie tak zwane tortury.

- Ale po co?

- Jak to po co? A rozumiem! Karmili cię tymi bzdurami, że to dusze cierpią niewypowiedziane katusze. Ale sam się zastanów czy to jest możliwe? Taka dusza nic nie czuje. Można ją do woli ścisnąć. Nie boi się ciasnych pomieszczeń, ani ciemności, ani głodu, ani zimna. No prawie niczego. I jak tu się nad nią znęcać przez wieczność. A tak, jak się jedna powłoka cielesna zużyje, robimy sobie następną, potem znowu następną i tak w nieskończoność...

Zauważyłem, że go nie słucham. Wpatrywałem się uważnie w umowę. Miejsce przeznaczone na mój podpis znajdowało się na samym dole pergaminu.

- Podpisz się w końcu.

- Dlaczego na samym dole? Potem dopiszecie jakieś punkty do umowy na wolnym miejscu i będę miał się z pyszna.

Boruta zdenerwował się. Wyjął nie wiadomo skąd gęsie pióro. Ukłuł mnie nim w serdeczny palec u prawej ręki. Po czym podał mi je i powiedział stanowczo:

- Podpisz!

- Nie, nie podpiszę! Zmieniłem zdanie!

W momencie, kiedy wypowiadałem te słowa, niechcący potrząsnąłem piórem i nagle oderwała się od niego kropla krwi. Patrzyłem przerażony, jak powoli spada na pergamin w okolice przeznaczone na podpis.

- Nie! - krzychałem - Neeee!!!

\* \* \* \* \*

- Nie! Nie! - krzychałem.

Podniosłem głowę z oparcia krzesła.

- Nie - powiedziałem ciszej.

Po twarzy płynęły mi łzy. Bolała mnie głowa. Byłem spocony. Czułem się połamany i ścierpięty, a także zmęczony, jakbym nie wiadomo, ile przeszedł. Spojrzałem na zegarek. Była 3.15. Spałem około 15 minut. Komputer jeszcze chodził. Na ekranie był dobrze mi znany obrazek z wodospadem. Otrząsnąłem się, jak po zimnej kąpieli. Przez głowę przemknęły fragmenty zdarzeń sprzed chwili.

- Co za głupi sen? - powiedziałem i pokiwałem głową z niedowierzaniem. Poczułem jeszcze, jak po plecach przebiega mi dreszcz. - Cholerny koszmar! - dodałem.

Szybko wyłączyłem komputer, rozebrałem się i wskoczyłem do łóżka. "Jeszcze zdążę się trochę przespać. Mam nadzieję, że przyśni się mi coś miłego" - pomyślałem, po czym przyłożyłem głowę do poduszki i usnąłem jak zabity. Tej nocy nie śniło mi się już nic więcej.

Wstałem dość wcześnie rano. Byłem zupełnie wyspany. Pełen chęci do życia i tworzenia. Do pracy udało mi się przyjechać wcześniej niż zazwyczaj. Miałem kilka minut, zanim przyjdzie reszta ludzi. Włączyłem komputer. Wrzuciłem swoją ulubioną stronę z opowiadaniem. Poprzedniego dnia zamieściłem na niej swój nowy tekst. Nie mogłem uwierzyć. Nie dość, że było mnóstwo opinii, to wszystkie były pozytywne...